POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 19 LIPCA 1930 ROKU NR. 29

ANDRZEJ STRUG

22)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Jaśniało i ciemniało znowu. Mgła uścielała się w warstwy, rozwlekała się w pasma. Zdawało się, że lada chwila stanie się cud i wyjrzy słońce, ale wnet napływał gęsty mrok. W odmęcie wzbierały jakby chmury, przesuwały się strzępy nieokreślonych kształtów o dziwnych podobieństwach, które mogły być wszystkiem. Za zasłoną mgły ciągnęły głębokie, długie kolumny cieniów, przemijały i nadchodziły inne. Przepływały czarne sylwety okrętów, w szyku bojowym, olbrzym za olbrzymem. Wyraźnie rysowały się kominy, maszty, potężne nadbudowy i godzące w niebo paszcze armat. Nadchodziły niezliczone zaprzęgi artylerji i znowu sunęły ściśnięte ławice piechoty, nad którą zrzadka majaczyły konne widmowe postace. Płynęły we mgle całe armje. Rita znała je, to były odbicia odeszłych lat, miraże niezliczonych grobów, zatopionych okrętów, rozstrzelanych armat, pobitych koni. To — o czem zapomnieli ludzie, żyjący w walce, od czego w grozie odwracała się pamięć narodu, to były widma skruszonej mocy niemieckiej.

Zjawa starganej, zbroczonej ojczyzny żyła w jej duszy własnem istnieniem ponad tem co jest i co będzie. Nie mogła przeboleć strat, nie mogła czytać krwawych komunikatów. Czuła zatracenie swego plemienia, była matką, żoną, siostrą, córką każdego z poległych, żałoba grubym kirem odgradzała ją od świata żyjących. Nie umiała już myśleć rozsądnie ani skrzepić swej duszy, nie miała przed sobą żadnej nadziei. To cierpienie nie mogło mieć końca, jak bez końca jest wojna. Świat zapadł się w otchłań...

Gdy tak myślała, własny ból i strach i niepokój jakgdyby wsiąkały w ogrom narodowego nieszczęścia, nie czuła targania serca, nie drżała przed poranną gazetą, przed listonoszem, przed przenikliwym dzwonkiem telefonu. Spędzała godziny i całe dnie w kamiennym spokoju, rysy jej martwiały, oczy gasły. Ogarniała ją niema zapamiętała nicość, jakgdyby już wszystko się spełniło.

Od sześciu tygodni nie miała wieści od męża.

Jasno, coraz jaśniej. Przez lekką oponę już widać las kominów na drugiej stronie rzeki i długie pasma dymów wytrwale ciągnące za wiatrem. Wyjrzał ciężki ogrom gmachów fabrycznych, idących bez końca wdół rzeki. Rita otrząsnęła się na ten obraz, który znała od małego dziecka. W tych potwornych budowlach, pod buremi dymami, w zatrutych oparach roiły się tysiące znikczemniałych istot, które służyły wielkiej zbrodni. Jakże podłe ich dzieło... Holownik idzie pod prąd, wlokąc trzy płaskie barki, głęboko zanurzone. To pociski, pociski, pociski, tysiące, miljony śmertelnych wybuchów. Za ostatnią barką płynie ostatni szmat zwiewnej mgły, a w niej na chwilę zamajaczą kolumny cieniów — to przedzjawa tych tysięcy, które gdzieś tam żyją o tej porze, ale od tych pocisków polec muszą.

Nagle rozjaśniło się tak, że olsnęły oczy. Za rzeką szeroki zakręt toru kolejowego na wysokim nasypie. Mijają długie wagony, poznaczone czerwonemi krzyżykami na bokach, na dachach, wloką się ostrożnie, już podchodzą do mostu, lokomotywa zaszlocha spazmem niezgłębionego żalu, i wnet most odezwie się żelaznym swoim jękiem... Na to znowu zmroczy się niebo beznadziejnie.

Rita oderwała się od szyby, ale w ciemnej głębi pokoju westchnęło coś, zaraz zaszepce, wypowie straszne słowo... Tuż za oknem długie nici brzóz płaczących kołysały się na wietrze. Ta umiłowana grupa drzew osłaniała przed nią kominy i dymy fabryki. Jej zwarta zieleń szemrała i szumiała na wietrze, poddając w ciszy nocnej tajemne swoje melodje... Ale to bywało latem, jesienią... Czyż nadejdzie znowu wiosna, czy przyjdzie choćby jeszcze jeden raz? Płakały brzozy nagiemi rózgami, smutne, cmentarne, chwiały się pod mroźnym podmuchem. Rita uczuła w sobie łzy, przymknęła piekące powieki — może dobry Bóg zeszle na nią kojące płakanie, skarb i ucieczkę kobiety, gdy pusto w duszy i gdy niema się gdzie podziać w nieszczęściu. Czemuż nigdy, nigdy nie umiała zapłakać?

Gdy roztworzyła suche obolałe oczy nie poznała świata. Brzozy stały jasne, olśniewające. Okryte welonami okiści o niepokalanej białości świeciły blaskiem i wszystko dokoła nich odmieniło się w jednej chwili. Znikły kominy fabryczne i dymy, za oknem puszył się cud promienny i przeczysty. Uśmiechał się urok zimy, tej dobrej z dawnych, pradawnych dziecięcych lat, majestat i łaskawość bajecznej Królowej Śniegu. I Rita z uśmiechem szczęścia postąpiła parę kroków, zasiadła przy fortepianie i wciąż zapatrzona w białą zjawę w oknie dotknęła klawiszów.

* * *

Tajny radca profesor Wager, skończył szósty tego dnia list i zaklął z ulgą. Czuł się wyczerpany i ogłupiały ze szczętem. List do centrali I. G., list do Kaiser Wilhelm Institut, list do dyrekcji zakładów Bayer w Leverkusen, list do komendanta Heeres-Gas-

schule w Berlinie, list do dowództwa wojsk gazowych w Głównej Kwaterze. Były to nudne, irytujące, bieżące drobiazgi, dla których nie miał nawet sekretarza. Teraz odpocznie przy cygarze, wysączy swoje pół butelki Marcobrunnera i przystąpi do bruljonu siódmego listu, nad którym rozmyślał już od tygodnia. List do pierwszego generał-kwatermistrza nie może być memorjałem, jakich w Głównej Kwaterze odbierają po sto na dzień. Pismo to od pierwszego zdania ma uderzyć, pochłonąć wyobraźnię człowieka, którego w czwartym roku wojny nie łatwo czemkolwiek zadziwić. List profesora miał zapewnione zgóry to, że dojdzie do własnych rąk Ludendorffa, pułkownik von Voss zobowiązał się, że sam mu go wręczy i jeżeli będzie trzeba, zmusi go do przeczytania. To już bardzo dużo. To już niemal wszystko. Ale trzeba porwać, trzeba przekonać. Profesor pisał ciężko i choć miał w głowie wszystkie swoje racje i argumenty, jasne jak słońce, nie wiedział jak zacząć. Wszak najważniejsza sprawa to pierwsze słowo, trzeba je tylko znaleźć. Tu trzeba trafić nieomylnie, inaczej wszystko na nic. Wódz, przeciążony straszliwą pracą, zajęty w ciągu szesnastu godzin dnia niezliczoną nawałą spraw, z których właściwie każda jest najważniejszą, nie może już mieć świeżości umysłu, niezdolny jest podlegać jakimkolwiek wrażeniom i o tej porze musi on być czemś w rodzaju cudownie zmontowanego automatu. Nabył nałogów rutyny, która jedynie może podołać potwornie ciężkiemu zadaniu — kierowania wojną. Uodpornił się, nie zna upojenia zwycięstwem ani przygnębienia klęską, nie podlega nastrojom, nie zna zapału ani zniechęcenia, jest wymierzony, zimny w swej potędze, jak maszyna. Takiego człowieka niepodobna natchnąć, ani zniewolić żadną na świecie nadzwyczajnością. Powinien zdumieć się i uwierzyć. Jak to uczynić? Jak zacząć?

— Excelencjo, chemja ma swoje otchłanne tajemnice i możliwości, graniczące z cudem. Broń chemiczna w tej wojnie stawia dopiero swoje pierwsze dziecięce kroki. Moje nowe odkrycie pozwala wytruć całe armje, całe miasta, całe kraje i narody. W ciągu trzech miesięcy podejmuję się zakończyć wojnę zwycięstwem, jakiego nie znają dzieje. Upraszam o wezwanie mnie do głównej kwatery na audjencję absolutnie poufną. W imieniu ojczyzny niemieckiej błagam o dwie godziny konferencji.

I na tem koniec.

Można i tak, ale cóż, kiedy tak samo właśnie piszą wszyscy manjacy i szarlatani. Powaga imienia? Tajny radca profesor Wager „twórcą zwycięstwa"? Pierwszy generał kwatermistrz pomyśli sobie odrazu, że tak nie pisze człowiek poważny, wreszcie przekaże moje pismo i mne biednego jakiemuś referentowi, pierwszemu lepszemu kapitanowi gazowemu, a czyż z takim szeregowym osobnikiem można mówić o tak przełomowem odkryciu? Wreszcie szeregowy osobnik złoży raport wedle swego widzimisię i papier ten utonie wśród nieprzebranej zamieci sztabowych świstków, czekających rozpatrzenia. A Niemcy czekać nie mogą, każdy dzień zwłoki w decyzji odkłada szansę zwycięstwa, każda godzina straconego czasu pracuje dla nieprzyjaciela.

Pułkownik von Voss opowiadał profesorowi, że przy Głównej Kwaterze istnieje „Wydział Pomysłów, Projektów i Wynalazków", gdzie pracuje trzech kapitanów, którzy w razie potrzeby wzywają porady rzeczoznawców. To zdarza się bardzo rzadko, ale niema dnia, żeby któryś z kapitanów nie łaził po biurach, odczytując ku zabawie przepracowanych kolegów horrendalne bzdury, wylęgłe w umysłach warjackich. Powaga imienia naukowego... Profesor przy całej swej sławie doznał tylu upokorzeń ze strony schamiałych w wojnie generałów, że nie liczył na urok swych zasług. Sam na własne oczy widział zakreślenia, wykrzykniki i znaki zapytania kreślone czerwonym ołówkiem na marginesie jednego ze swoich memorjałów i uwagi w rodzaju: — Profesor Wager jest uznaną znakomitością w dziale barwników do farbowania perkalu, ale zdradza niesłychaną ignorancję w sprawach dotyczących walki. Pomysły jego są gabinetowe, laboratoryjne i czysto teoretyczne. Obcą mu jest psychika żołnierza niemieckiego; w swoich utopjach przekracza on na każdym kroku granice możliwości ludzkich, a zwłaszcza technicznych.

Obrzydłe było cygaro wojenne z liści kapuścianych, bukowych i innych ersatzów, mdłe było nawet wino starodawne, rzetelne z własnej piwnicy. Gorycz zapoznania, brzemię niepowodzeń pogrążyło profesora w zjadliwej apatji. Wizje pokotem leżących armji nieprzyjacielskich, wizje wymarłych miast i zniszczonych pól, lasów i wszystkiego co żyje — stawały się snem na jawie, marzeniem głowy ściętej, okropną pomyłką naukową, absurdem... Po przebytych tryumfach zeszedł na to, że fabrykował ordynarne przestarzałe gazy. Niebieski Krzyż, Zielony Krzyż, Żółty Krzyż i w oddanych mu niby zakładach „Badische Anilin und Soda" w rodzinnem mieście Mannheimie był zaszczytnym figurantem i tyle, że ocalił swoją pracownię doświadczalną w Ludwigshafen, gdzie siedziało dwuch inżynierów, paru dyplomowanych chemików i garść robotników i posługaczy — wyspa inicjatywy i myśli na morzu niemieckiej rutyny. Zniechęcony, od tygodnia nie jeździł już nawet za Ren, na Ludwigshafen i na kominy „Badische" patrzał z okna. Jego ostatnia nadzieja była w pozyskaniu dla swojej idei generała Ludendorffa. Jeżeli mu się nie uda, zrezygnuje i będzie patrzał na to co się dzieje, będzie czekał nieuniknionej klęski. Cóż więcej można zrobić? Profesor był człowiekiem nauki, nie umiał iść przebojem, a jeżeli ulegnie — tem gorzej dla Niemiec — i dla niego samego przedewszystkiem...

Co będzie robił? Czemże będzie żył, wyrzekłszy się chimery zbawienia ojczyzny? Wytężona praca laboratoryjna, pogoń za trucizną absolutnie doskonałą dawały mu rację bytu, odgradzały go od wszystkich ludzkich niedoli. Czyhały one zewsząd, miał ich pełen dom. Na ścianie portret Kurta, gdy miał dziesięć lat, fotografja Rity z narzeczonym. Nieszczęście, śmierć zieje z każdego kąta. W biurku leży nierozpieczętowany zwitek listów syna, leży od dwuch miesięcy i strach go tknąć... Rita nie wie o śmierci męża — czy naprawdę nie wie? Od kilku tygodni nie wspomniała o nim ani słowem, a on też i tąk żyją z dnia na dzień.

Profesor otrząsnął się, chwycił za pióro i zaczął:

— Excelencjo...

Stary Hans wyrósł na progu z czyjąś kartą w ręce. Tak jest, na tę godzinę wyznaczył przyjęcie. — Prosić!

— Musimy się poznać bliżej, panie doktorze... My samotnicy z Ludwigshafen żyjemy jak bracia, co sobota między szóstą a ósmą zbierają się w moim domu pańscy koledzy. Ale chciałem pomówić z panem na osobności. Pańskie chlubne postanowienie i przełamanie tylu przeszkód w dążeniu do ojczyzny... W takich czasach... Z drugiej półkuli świata... Jakże się pan czuje na tej ziemi niemieckiej? Jeszcze obco? Nijako?

(D. c. n.).

MAYERLING

11)

Hrabia Hoyos roześmiał się serdecznie:

— Oto piękne i rozsądne zamiary. Lecz gdy Wasza Wysokość spędzi cały dzień pośród zakurzonych aktów, gdy będzie się musiała irytować przynajmniej z dziesięć razy na tych półgłówków z Stuben Ringu, gdy wreszcie spożyje ceremonjalny obiad w Hofburgu, to nie wątpię, że Wasza Wysokość przyjdzie z całą rozkoszą odetchnąć spokojną atmosferą jaka panuje w gabinetach u Sachera. Tam niema kłopotów, niema etykiety. Znakomite wino, dwie lub trzy słodkie istoty, na które miło popatrzeć, i Marynka! Byłbym mocno zdziwiony, gdyby nie zachwyciła, Waszej Wysokości.

— Śpiewać będzie dla was! Ja zaś postaram się wyspać.

— Gdyby jednak sen się nie zjawił, Wasza Wysokość wie, gdzie nas znajdzie.

Dzień minął bardzo nieciekawie. Na objeździe był też arcyksiąże Albrecht, zwycięzca z pod Custozzy, którego wpływy, w ministerstwie spraw wojskowych były jeszcze bardzo wielkie. Starzec mówił dużo i to co mówił irytowało następcę tronu. Przypominał sobie powiedzenie Jana Salvatora:

„Z twoim ojcem, możnaby wkońcu porozumieć się i dojść do ładu, lecz wuj Albrecht trzyma całą armję w garści. Trzeba będzie go powalić".

Wreszcie, późnym wieczorem mógł Rudolf wymknąć się. Spędził kilka minut w swoich apartamentach, poczem razem z Loschkiem, który prowadził go, wyszedł boczną furtką z murów Hofburgu.

Prywatny ekwipaż oczekiwał arcyksięcia przy placu Józefa. Następca tronu rzucił adres, wskoczył do pojazdu, woźnica trzasnął z bicza i konie pomknęły.

Niebawem, pojazd zatrzymał się na jednej z bardziej ożywionych ulic Wiednia. Rudolf wysiadł i skręcił w spokojną uliczkę. Zatrzymał się przed niepozorną kamienicą, pchnął odemkniętą bramę, wszedł na kuchenne schody, przystanął na drugiem piętrze i zapukał do brudnych drzwi. Wprowadzono go natychmiast do obszernego mieszkania. Większość salonów była oświetlona. Arcyksiąże Rudolf odniósł wrażenie, że gdy mijał kurytarz zamknęły się nagle drzwi do jednego z pokojów, i kilka osób starało się w nim ukryć.

Zaniepokoiło go to i wszedł niemile dotknięty, oraz już podniecony, do gabinetu, w którym oczekiwał go Jan Salvator.

Od owego powiedzenia kuzyna, na temat szefa sztabu we Lwowie, Rudolf przyrzekł sobie, że będzie ostrożny i użyje podstępu, by dowiedzieć się jak dalece zaangażował się Jan Salvator.

Zadał sobie przymus i rozmowa pomiędzy kuzynami rozpoczęła się spokojnie.

Milli Stubel była tego wieczoru nieobecna. Rudolf wyciągnął z tego wniosek, że Jan Salvator pragnie mówić o polityce.

Jan Salvator znajdował się w tym czasie, w trudnem położeniu. Pracował w tajemnicy, znacznie więcej niż mógł to sobie wyobrażać następca tronu. Musiał dać teraz zadośćuczynienie niecierpliwym stronnikom, przekonać ich, że arcyksiąże Rudolf szedł z nimi ręka w rękę. Postanowił więc zmusić następcę tronu, do wzięcia na siebie odpowiedzialności. Wiedział też, z jaką ostrożnością należało iść naprzód.

Właśnie teraz mówił Rudolf z wielką sympatją o oficerach nieposiadających wyższych rang, o tych skromnych, niepozornych, ale naogół wykształconych i doskonale poinformowanych o politycznych i społecznych zagadnieniach, które rozdwajały cesarstwo; ta sfera ludzi, była zdaniem następcy tronu przychylną ideałom liberalnym.

— Oto nasze najsilniejsze oparcie, Gianni, — rzekł nazywając arcyksięcia, tem imieniem, którem wołała na niego Milli Stubel.

Gianni wzruszył ramionami.

— Gdy wygramy bitwę, wszyscy, jak jeden mur, staną po naszej stronie, lecz nie na tych liczyć można by rozpocząć walkę. Potrzebne nam są oddziały szturmowe.

Rudolf przerwał mu, śmiejąc się:

— Zachowałeś słownictwo twojego dawnego zawodu, mój drogi Gianni. Wszystkie twoje metafory są wojskowe. Gdyby nas ktoś podsłuchał tu, musiałby, doprawdy, przypuszczać, że przygotowujemy zamach stanu.

Nastąpiło milczenie, które zaciążyło obojgu, słowa Rudolfa były ważkie. Bystrem okamgnieniem objął następca tronu, swojego kuzyna. Lecz ten ostatni nie zamierzał wszczynać walki, nie przygotowawszy się do niej uprzednio. Miał swój plan i zmienił temat rozmowy.

Rudolf niecierpliwił się. Miał wrażenie, że jest zabawką w doświadczonych rękach Gianniego. Tymczasem Jan Salvator kazał podać wina i mówił o trudnościach, na jakie napotyka się, gdy zamierza się kierować wielkim ruchem ideowym.

— Człowiek wyobraża sobie, że jest panem sytuacji i że potrafi nadać wszystkiemu jednolity kierunek. Wcale nie! To nie bryła jednolita, lecz amalgamat, różnych elementów. Niektórzy są bierni, trzeba ich podniecać, inni bardziej dojrzali rwą się do czynu — należy ująć ich w karby. Niełatwe zadanie... I jeszcze ci coś powiem, ci ludzie, którzy stanęli przy tobie, którzy odnoszą się do ciebie z całem zaufaniem, którym przyrzekło się wiele, muszą w pewnym momencie być zadowoleni, albo conajmniej uspokojeni. Trzeba ich upewnić, że cel do jakiego zdążają jest bliski. W przeciwnym razie, rzucają cię.

Mówił długo w tym sensie, i z każdą chwilą zbliżał się do zamierzonego celu. Rudolf zrozumiał jego intencje i milczał. Pił wino małemi łykami i słuchał, pełen wewnętrznego gniewu, wzrastającego z każdem słowem swojego kuzyna. Wiedział do czego prowadził.

Nieoczekiwany wypadek pokrzyżował subtelne plany arcyksięcia Jana Salvatora.

W mieszkaniu rozległ się przytłumiony, lecz mimo to, dość wyraźny hałas. Rudolf zerwał się na równe nogi i instynktownie włożył prawą rękę do kieszeni po rewolwer.

— Co to ma znaczyć? — zapytał podnieconym głosem.

Już Jan Salvator wskazywał mu ruchem, ażeby się nie ruszał, biegł do drzwi, znikał za niemi.

Rudolf trzymał rękę na rewolwerze. Hałas trwał w dalszym ciągu, chwilami wzmagał się. Wreszcie umilkł. Minęło kilka minut.

Arcyksiążę Jan Salvator wrócił do pokoju — oczekiwano Rudolfa. Zwykle blada twarz, kuzyna

następcy tronu, płonęła. Oczy gorzały blaskiem; uśmiechał się.

Lecz tym razem arcyksiąże Rudolf, nie starał opanować się. Gniew wzmógł się podczas oczekiwania i ton, jakim przemawiał wcale nie był przyjazny.

— Co się dzieje? Tu są ludzie, i ty ich ściągnąłeś.

Głos brzmiał twardo, władczo. Jan Salwator zrozumiał. Postanowił stawić czoło, ale z giętkością swojej rasy, odpowiedział tonem, niemal komicznym:

— To są elementy dojrzałe... Trudno utrzymać je w karbach i jak ci powiedziałem, niecierpliwią się.

— O co ci idzie? — krzyknął Rudolf. — Co przyrzekłeś tym ludziom, których sprowadziłeś do siebie?

Widząc wyjście z tej sytuacji, Gianni rzerwał Rudolfowi.

Mówił głosem, niepozbawionym ironji:

— Przyrzekłem im tylko, że cię ujrzą. I nic pozatem; nie będziesz musiał powiedzieć ani słowa, któreby mogło skompromitować twoją szacowną opinję. Kilka banalnych zdań, rozumie się samo przez się: „Panowie rad jestem, że mogę uścisnąć wam dłoń. Pracujemy, wy i ja, dla tego samego ideału". No cóż? ideał ci się podoba, to z twojego słowniczka. Nie można nikogo powiesić za słowo: ideał. Jedynie w Hofburgu, gdzie wszyscy są tacy przebiegli, można w niem znaleść coś podejrzanego. Możesz, z całym spokojem, odważyć się. O nic więcej cię nie proszę, a jeżeli jest to za wiele, pokaż im się tylko.

Ten ton miast uspokoić, następcę tronu podniecił go jeszcze bardziej.

— Widzę twoją grę podstępny mistrzu — odparł. — Bóg raczy wiedzieć, co knowałeś za mojemi plecami i, co przyrzekłeś w mojem imieniu. Przygotowujesz bunt. Przyrzekłeś swoim poplecznikom, że gdy nadejdzie dzień, stanę na czele, że ze mną i dla mnie idą do walki... Jak daleko posunąłeś się? Nic nie wiem, i ty mi powiesz... Tymczasem, należy dowieść twoim „elementom dojrzałym do czynu", że nie jesteś sam, nie mówiłeś na wiatr i ja tu jestem, by poprzeć twoje argumenty. I wyobrażałeś sobie, że będziesz mógł posługiwać się mną jak marjonetką, którą pcha się na scenę, nie pytając, czy pragnie pokazać się na widowni? Otóż omyliłeś się, nie trzymasz mnie jeszcze...

Chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, z twarzą pokrytą chmurami. Zamilkł na chwilę.

Lecz Jan Salvator nie odpowiedział. Postanowił nie gniewać się i sądził, że będzie lepiej, gdy Rudolf da upust złemu humorowi.

— Co sobie wyobrażałeś? — ciągnął Rudolf. — Chciałeś sprowokować bunty, zrobić powstanie na Węgrzech, w Czechach lub Kroacji, wywołać wrzenie w armji, wzburzyć cesarstwo, poprowadzić je do ruiny? I liczyłeś na mnie, na mój współudział? Słuchaj, tym razem musisz mi dać wyraźną odpowiedź.

Mówiąc to, uderzył pięścią w stół, z takim rozmachem, że przewróciła się butelka z winem.

Jan Salvator odpowiedział z największym spokojem:

— Zaiste, wiesz chyba co jest wart wewnętrzny spokój, którym się cieszymy, i nie musiałbym zadać sobie wiele trudu, by pchnąć cesarstwo na brzeg otchłani. Jest już tam. W tym względzie zgadzasz się ze mną, gdy obejmujesz sytuację z zimną krwią. Więc czemu wpadasz w gniew? Kocham mój kraj i widząc, gdzie go pcha idjotyczny rząd, jestem szczerze przerażony. Idziemy w przepaść, staczamy się w nią w szybkiem tempie. Podzielasz moje zdanie w tych wszystkich względach. Co nas dzieli?

Urwał, a po chwili ciągnął:

— Ja mówię: jeżeli pragniemy uratować cesarstwo i koronę, należy działać bez zwłoki. Jutro będzie za późno. Zerwie się tak straszny cyklon, że zginiemy w nim wszyscy bez wyjątku. A ty, który na równi ze mną uważasz stan rzeczy za zgubny i nie mogący trwać dłużej, ty jesteś przeciwnego zdania i mówisz: rozmawiajmy o przyszłości, mówmy o niej jeszcze, omawiajmy ją bez końca. Mówmy i nic więcej! Ależ Rudolfie, teraz nie pora już na słowa! Czy nie jesteś w stanie zrozumieć tego? To zbyt proste i zbyt ociężałe. Czekać, lecz na co? Na zniknięcie twojego ojca. Tak, jak wygląda, może trwać jeszcze dwadzieścia lat. Chcesz czekać dwadzieścia lat, podczas gdy oczy narodów podwójnej monarchji są skierowane na ciebie, w nadziei że dasz im wyzwolenie. Na Boga jesteś cierpliwy! Chcesz zkolei zestarzeć się, zmienić w zgrzybiałego człowieka, który nie zapala się do niczego, dla którego wszelkie ideały umarły! Ja osobiście nie godzę się na takie samobójstwo.

Rudolf stał nieruchomo. Wszystko to, co mówił teraz Gianni, powtarzał już sobie sto razy. Lecz były to dla niego słowa, tylko. I oto słowa te stawały się uchwytną rzeczywistością. Kuzyn wprowadził nieznajomych do swojego mieszkania. O niczem innem nie mógł myśleć. Gniew nurtował go. — Jak mnie traktują! Jak mnie traktują! — powtarzał bezustannie.

— Kto tam jest? — powtórzył z siłą. — Chwilowo nie chcę robić żadnego użytku z twoich ideałów. Chcę wiedzieć, kto tam jest.

Jan Salvator wzruszył ramionami.

— Czy naprawdę zależy ci na tem, by dowiedzieć się, kto tam jest? Oficerowie. Zdaje mi się, że znasz nawet kilku z nich. Jeżeli pragniesz, wprowadzę ich kolejno do tego pokoju. Będziecie mogli porozmawiać.

— Nie chcę ich widzieć — krzyknął zrozpaczony następca tronu — powiedz mi ich nazwiska!

Tym razem arcyksiążę Jan Salvator zmienił postawę.

— Tego właśnie, nie powiem ci — odrzekł zimno i stanowczo.

Rudolf odgadł utajoną myśl kuzyna. Podszedł do niego grożąc:

— Pozwalasz sobie!...

Jan Salvator nie poruszył się.

— Zdaje mi się, że tracisz panowanie nad sobą. Wróć do domu. Atmosfera Hofburgu jest dla ciebie najodpowiedniejsza. Nie masz tu nic do roboty.

Rudolf zbladł. Uniósł ramię. Miał wymierzyć policzek swojemu kuzynowi?... Opanował się, postąpił kilka kroków i opadł na fotel.

Nastąpiło milczenie.

Rudolf miał spuszczone oczy. Śnił na jawie. Zdawało mu się że widzi głęboki dół, do którego zapadał się powoli. Błoto sięgało mu kostek, pasa, szyi, dusiło go... Zmienił się obraz pod przymkniętemi powiekami... Gabinet w Burgu, który znał doskonale, a w gabinecie oficer z rewolwerem w ręce, oficer podobny do niego jak brat... Zmieszany hałas, coraz głośniejszy rozlegał się w sąsiednich pokojach i na korytarzach. Słychać było od czasu do czasu, okrzyki „Niech żyje cesarz Rudolf!" i ten oficer nachylając się nad śmiertelnie bladym starcem podawał mu kartkę papieru i mówił „Podpisz!"...

(D. c. n.).